

Tajemnicze oczy.

(Powieść na tle notatek amerykańskich d-dektywów).

— Dziękuję ci, kochany chłopcze, bardzo ci dziękuję. Skorzystam z twojej przesyłki. Istotnie, że narażenie tego pana i mnie było podejrzanym. Nie dowiemy on się niczego o temnie.

Stuart pożegnał się z doktorem, zbierał się w drogę i powtarzał sobie: „a to dziwne! dlaczego Leonora Arnym w domu obłąkanych!”

XIV.

I ZNOWU ZNIKŁA!

Na olegiem przedmieściu w Chicago, wśród cieniściego ogrodu widać okazały budynek. Jest to prywatny zakład dla obłąkanych dr. Burtona. W obszernej, starannie urządzonej po pokoju na drugim piętrze, siedzi w oknie piękna, młoda kobieta. Twarz ma blada, zmęczona; w raz tęsknoty na niej się rozstąpił; usta cierpieniem moralnym skrzywione, oczy na pół zamknięte.

Smutne myśli ją ogarniały: „Po co żyję? zadawała sobie pytanie. Dziecięce lata moje osłania tajemnicą; potem parzyła na złamane życie matki, zbolelej wciąż zniekształconej; potem to, co się stało! Teraz chronię się przed ludźmi, ukrywać i udawać obłąkaną, aby uniknąć pościgu. Wiem, jestem, niewolnicą ciężkiego losu. Wiem, że ma w tem pociechę, że kiedyś otworzą mi bramę więzienną i odzyskam wolność. A? Ja nigdy nie będę swobodną, nigdy szczęśliwą!”

Jak szczęśliwi ci tam, co tak ciężko w ogrodzie pracują! Co to? Do bramy zdąża ktoś nieznany. Biegnie on!

Raz tylko widziałam, ale nie zapomnę nigdy, to agent policyi! Już mnie odkryli, pochwyta, zamyka, wysłuchując, że mój go zamordował!

Zerwała się, odiegła od okna, a tymczasem do bramy zadzwonił Stuart i gdy mu otworzono, zaczął się zaprowadzić do dr. Burtona.

— Jan Jakób Austin — przedstawił się Stuart. — Czem mogę ci służyć? — zapytał dr. Burton, człowiek bardzo miły, przejęty.

— Przychożę z polecenia dra Austina.

— Czy to krewny pana?

— Bardzo daleki, ale ja mieszkam u niego, zaprawiając się co nieco do medycyny.

— Niechże się pan rogości. Proszę bardzo. Dr. Austin jest moim bardzo cennym przyjacielem, więc miło mi poznać jego kuzyna. Jakież to pan ma zlecenie do mnie?

— Prosił mnie, abym odwiedził jego pupilkę, którą tu niedawno u pana umieścili.

— A! pannę Lynn! Zapewne o niej pan mówi?

Stuart zbil się nieco z trą, bo nie wiedział, że pod tem nazwiskiem Leonora tu przebywa. Nie odpowiadając na pytanie, czekał, jakby milczeniem chciał panie potwierdzić.

— Jakże się miewa?

— Wybornie. Jej chęć była właściwie tylko silnym rozdrażnieniem nerwów.

— Ja jej nie znam wprawdzie, ale dr. Austin życzył sobie, abym ją zobaczył i zdał mu sprawę, jak wygląda, jakie sprawia wrażenie. Jeżeli pan zechce, to zezwolić, to proszę mnie jej pani przedstawić.

— Bardzo chętnie i owszem; to jej nawet sprawi przyjemność, gdy pozna kuzyna swego opiekuna. Ona jest zupełnie przytomna, jak my obaj. Cała sprawa ogranicza się do tego, iż sobie uroila, że ją chcą uwiezić i zamordować.

Dr. Austin polecił mi zapytać się jeszcze, czy nie byłoby korzystnym zmienić jej miejsce pobytu?

— Hm! to możliwe, ale musiała by mieć spokój, ciszę i nie stykać się z ludźmi, bo cierpi na antropofobię. Dopiero zwolna, gdy się już całkowicie uspokoi, będzie można otoczyć ją dbranem towarzystwem. Zaraz pan zobaczy pupilkę swego kuzyna.

Dr. Burton zadzwonił i rozkazał wchodzącej dozorczyńni, aby poprosiła na chwilę pannę Lynn.

Dozorczyńni poszła spełnić zlecenie. Zapukała do drzwi pacjentki.

— Czy to Joanna? — odezwał się głos z wewnątrz.

— Tak panienko, to ja. Czy mogę wejść.

Drzwi się otworzyły. Leo ora Arnym stanęła w progu.

— Czego sobie Joanna życzy?

— Pan doktor prosi na chwilę do siebie, bo tam czeka jakiś młody pan.

— Tak? Zaraz przyjdę, ale wpiertw muszę się umyć i przebrać. Pisząc list oblałam się atramentem. Proszę mi przynieść gorącej wody i zostawić ją za drzwiami; tymczasem będę się przebierała.

Służąca się oddaliła, a Leonora włożyła prędko kapuś na głowę, zarzuciła płaszcz na sienie i cicho, obojętnie przesunęła się przez korytarz i boczne schody ku ogrodowi. Przebiegła go prędko i znikła na ulicy.

Tymczasem rozmawiali obaj panowie o tem i o owem, ale gdy pół godziny upłynęło, a pacjentka nie przycodziła, zaczął niecierpliwie się dr. Burton i posłał dziewczynę ponownie po nią.

Dozorczyńni wróciła bardzo zakłopotana.

— Nie ma panny Lynn.

— Dokądże wyszła? — spytał dr. Burton, co olwie zaniepokojony.

— Nie wiem. Gdy jej powiedziałam, że pan doktor na nią czeka, kazała mi przynieść gorącej wody do mycia i postawić ją za drzwiami pokoju. Mówiła, że się musi przebrać i myć ręce z atramentu. Wtedy postawiłam, ak kazała i poszła do innych chorych. Gdy teraz zażądałam do pokoju, panny Lynn już nie było, a woda została przed drzwiami nieknięta.

— Co to jest? — zawołał dr. Burton. — Niezawodnie dostała napadu gwałtownego rozdrażnienia.

— Czy panna Lynn wiedziała, że tu ktoś czeka na nią? — zapytał Stuart dozorczyńni.

— Ja jej powiedziałam, że jest jakiś młody pan.

— A na co? kto kazał o tem mówić? — rzekł Stuart opryskliwie.

— Niech Joanna poszuka panny Lynn w korytarzach i w ogrodzie — rozkazał dr. Burton.

— Proszę pana, panie doktorze, zaprowadzić mnie natychmiast do pokoju zbiegłej pacjentki, a jeżeli pan się domyśla, gdzie się ukryła, proszę ją natychmiast sprowadzić — rzekł Stuart tonem sta owczym i energicznym.

Dr. Burton zdziwił się i obraził, to też poważnie i z wielką godnością odpowiedział:

— Pozwoli pan sobie powiedzieć, że to zachwalstwo prawdziwe, rzekazywać w moim zakładzie. Pacjentom ja się opiekuję, ja tu rozporządzam, a jeżeli pacjentka widzieć kogoś nie chce, ja jej zmuszać do tego nie będę.

Bardzo ubolwam, że pa u to nie mile, ale mimo tego ponawiam si nowczom ją prośbę.

— A ja powiadam, iż jej nie spełnię.

— W takim razie muszę i go żądać i wezwać pana, abyś me żądać spełnił.

— Kto pan jesteś, że ośmielasz się w ten sposób przemawiać?

— Jestem agentem policyi i przybywam tu, aby spełnić obowiązki urzędowe. Proszę mi nie przeszkadzać w urzędowaniu.

Joanna wróciła z doniesieniem, że panny Lynn niema nigdzie w zakładzie. Stuart, le oglądając się na doktora, rozkazując zwrócił się do Joanny.

— Proszę mnie natychmiast zaprowadzić do pokoju panny Lynn.

Tyle było siły w tym rozkazie, że Joanna, nie czekając, co kto na to powie, wybiegła a za nią pospieszył Stuart.

Rozejrzał się dokładnie we wskazanym sobie pokoju.

— Proszę dobrze się przypatrzeć, czy nie brakuje tu którego z ubrań panny Lynn.

— Niema kapelusza i płaszcza — odpowiedział Joanna — a były na wieszadle.

Dr. Burton, który chwilowo osłupiał ze zdumienia, zjawił się także w pokoju swej pacjentki a oddaliwszy Joannę, zapytał g iennie:

— Co to wszystko ma znaczyć? Żadam wyjaśnienia. Czy dr. Austin pana tu przysłał? Czego policja szuka u panny Lynn.

— Dr. Austin nie przysłał mnie wcale — rzekł Stuart poważnie. — Ten zacny człowiek nawet nie przeczuwa zapewne, jakie podejrzenia ciąży na jego pupilce. Zdaje mi się, że pańska pacjentka uciekła. Czy ona nie była pod dozorem?

— Nie było potrzeby. Mówiłem już, że jest zupełnie zdrową na umyśle, a jedynie rozdraż-

nie nerwowe jej dokuczało. Tacy chorzy nie zostają pod dozorem i mogła swobodnie chodzić po zakładzie, a nawet wychodzić z niego.

— A więc ucieka! — zawołał Stuart. — Przepraszam, że pan niepokoiłem. Do widzenia, panie doktorze.

To rzekłszy, oddalił się Stuart z zakładu szybko i wypadł na ulicę. Stał bezradny, zły, zakłopotany.

— I znowu zniknęła! — myślał z goryczą — a już byłem tak blisko celu!

Leonora opuściwszy zakład, wsiadła do pierwszej napotkanej karetki i kazała się obwozić, jak osoba chcąca żyć ruchu, a nie mogąca wiele chodzić. Myślała, co teraz robić? Wyjechać z Chicago nie podobna, bo niezawodnie na wszystkich dworcach czekała na nią policja. Znajomych nie ma, prócz Kate Scaton, więc nima się u kogo schronić. Mimowoli zuciła o iem na książkę inseratową, zawieszoną w karetkce. Machinalnie zaczęła ją przeglądać.

Wpadł jej w oczy anons jakiegoś byłej śpiewaczki operowej, która udziela lekko śpiewu i sposobi młode panny do sceny.

To jej się uśmiechnęło.

Pomyślała sobie, że jej w takim zakładzie nikt nie będzie szukał. Tam postanowiła się schować — tam kazała frakro i się zawiesić.

Karetkka zatrzymała się w ubocznej uliczce, przed domem skromnym, przylegającym do ogrodu. Nad drzwiami był napis: „Szkoła śpiewu panny Harris”.

Leonora zadzwoniła, we drzwiach ukazała się kobieta około lat pięćdziesięciu.

Znać było jeszcze, że kiedyś była piękna. Działa miła, sympatyczna, uprzejma.

— Czy mogłabym się widzieć z panną Harris? — zapytała Leonora.

— Proszę, ja jestem.

— Przybywam tu wskutek anonsu pani.

— A, proszę pani, bardzo mi przyjemnie.

Zaprowadziła Leonorę do saloniku, mającego wszystkie cechy aktorskiego nieladu i aktorskiej fantazji. Dużo szyciu, dużo świecideł, mało smaku i powagi.

— A więc czytałaś pani mój anons? Czy pani chce do sceny się sposobić?

— Tak pani. Chciałabym zostać śpiewaczką, oczywiście, jeżeli pani uzna, że posiadam głos i zdolności zarówno muzyczne jak i sceniczne.

— To można prędko ocenić — rzekła panna Harris uprzejmie.

Widząc dziewczynę piękną, o postawie prawdziwie uroczej, inteligentną, skromną, dobrze wychowaną, co od pierwszego rzutu poznała, ucieszyła się stara śpiewaczka takim nabytkiem.

Obliczyła od razu, jakie korzyści mieć będzie z takiej kandydatki do sceny. Niezwykła jakaś kandydatka! Więc z największą słotyczą rozmawiała z Leonorą:

— Czy mogę prosić o podanie mi nazwiska?

— Jestem Lena Voss.

— Czy pani życzy sobie zaraz rozpocząć naukę?

— Tak, skoro tylko znajdę jakie umieszczenie. Jestem tu zupełnie obcą, więc nawet nie wiem, przykim z mieszkać bym mogła. Ona wi m się trafić nie na swoje towarzystwo. Sierota, bez przyjaciół i znajomych, potrzebowałabym też życzliwej rady i opieki. Posiadam wprawdzie dostateczne zupełnie fundusze, może nawet więcej niż mi potrzeba, ale przyjaciół za pieniądze nabyć nie można...

Mówiła to szczerze, bo stara śpiewaczka wydała jej się bardzo sympatyczną i uziła do niej jakiś serdeczny pociąg.

— Jeżeli tylko pani pozwoli, to najchętniej usłużyć ci radą i opieką.

Przedewszystkiem muszę powiedzieć, kim jestem. Sierota, posiadam dość znaczny majątek, od którego pobieram regularnie procenta. Po śmierci rodziców wyznaczone mi opiekuną. Człowiek to zły, dokucliwy. Uparł się, aby mnie wydać za swego syna, który mi był wstrętny. Opiekun czyhał na mój majątek i chciał nim siebie i syna swego wzbogacić. Gdy sta owczo odmówiłam, tak mi dokuczał, tak po prostu ze mną się behadził, że musiałam uciec i ukryć się w Chicago.

— Dobrze pani uczyniłaś.